

DENISE HUNTER

Fabtoniosse WZGÓRZE

ROMANS W RIVERBEND

d



Tabloniowe
WZGÓRZE



DENISE
HUNTER

Tłumaczenie: *Joanna Olejarczyk*

Tytuł oryginału:

Harvest Moon

Autor:

Denise Hunter

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Joanna Olejarczyk

Redakcja:

Dominika Wilk

Korekta:

Natalia Chrobak-Lechoszest

Skład i opracowanie graficzne:

Anna Brodziak

Projekt okładki: © Faceout Studio, Tim Green, © Thomas Nelson, HarperCollins Christian Publishing Inc.

Zdjęcie na okładce: © Shutterstock, © iStock

Wektory: lukasdedi, freepik / Freepik.com

ISBN 978-83-66977-67-9

© 2022 by Denise Hunter by Thomas Nelson, HarperCollins Christian Publishing Inc.

© 2023 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak

ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów

www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2023, wydanie I

Druk: Drukarnia Skleniarz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY



To nie był jeden z tych dni, w które może wydarzyć się coś złego: wrześnieowy wietrzyk, błękitne niebo rozciągające się nad koronami drzew, powietrze gęste od zapachu sosen i ziemi. Idealna sobota.

Gavin Robinson dotarł na szczyt Roan Mountain tuż po południu, zjadł kanapkę i teraz wracał szlakiem na dół. Po kilku miesiącach rozkręcania firmy Robinson Construction w końcu miał wolny weekend. Słońce zaszło już za górę, a wieczór szybko się zbliżał. Nagle w kieszeni Gavina zabuczał telefon. To cud, że miał zasięg tak daleko od cywilizacji.

Wyjął komórkę. Na ekranie wyświetliła się twarz brata. Gavin stanął i otarł pot ze skroni.

- Cześć, Coop. Co tam?

- Gdzie jesteś?

Spięty ton Coopera go zaniepokoił. Może ich ojczym miał kolejny zawał serca?

- Wracam z Roan. Co się stało?

- Dostaliśmy jakiś czas temu wezwanie. Ktoś zgłosił, że widział mały, spadający samolot. Kolejny telefon potwierdził,

że doszło do wypadku na południe od Marshall. Gavin... To był żółty samolot.

Oddech uwiązał mu w płucach. Mike, jego najlepszy przyjaciel, był dumnym właścicielem cessny skyhawk - jedyne- go żółtego samolotu stacjonującego na lokalnym lotnisku. Czyżby Mike zabrał dzisiaj Mallory i Emmę na wycieczkę? Wyobraził sobie młodą rodzinę, którą widział w zeszły weekend, pracującą w swoim sadzie jabłoniowym. Mallory przytrzymała wtedy drabinę, na której stał Mike, a dwu- letnia Emma dreptała boso po porośniętym trawą terenie i gonila motyle.

Proszę, Boże. Oby nic im się nie stało.

- Mike jest dobrym pilotem - stwierdził Gavin.

- Wiem.

Gavin usłyszał to, czego brat nie powiedział: mnóstwo rzeczy mogło pójść nie tak, pomimo profesjonalizmu pi- lota.

- Długo nie mogłem się do ciebie dodzwonić. Już prawie dotarłem na miejsce wypadku. Medycy przyjechali kilka minut temu. Muszę kończyć. Wkrótce będę znał szczegóły. Zadzwońię do ciebie, gdy czegoś się dowiem.

Gavin się rozłączył, zwiększył głośność dzwonka i ruszył przed siebie śpiesznym krokiem. Jak dobrze, że jego brat jest szeryfem - szybko przekaże mu wieści.

Miał okropne przeczucie, że rozbity samolot jednak należał do Mike'a. Pozostawało tylko jedno pytanie: czy wpa- dek dało się przeżyć?

Nie chciał wierzyć, że mogło być inaczej. Zamiast tego, idąc szlakiem, tworzył w głowie plan. Pojedzie do szpitala Mission, do którego Claytonowie zostaną przewiezieni.

Skorzysta z telefonu Mike'a, żeby zadzwonić do jego rodzi- ców, i przekaże im złą wiadomość. Jediną żyjącą krewną Mallory była jej mama, ale nie utrzymywały ze sobą kon- taktu.

Emma. Przypomniał sobie podskakujące blond loczki dziewczynki, kiedy bawiła się z nim w chowanego w sadzie w zeszłym tygodniu. „Gavin, gdzie jesteś?”

Jego zdradziecki umysł wytworzył obraz jej maleńkiego ciała wyciągniętego na fotelu samolotu: nieprzytomnego, bladego, z krwią ciekącą z głowy.

Nie. Nie mógł sobie pozwolić na te myśli. Musiał mieć pozytywne nastawienie.

Chwilę później zerknął na zegarek. Wydawało mu się, że od telefonu Coopera minęło kilka godzin. Miał dobre tem- po. Już prawie dotarł do samochodu, ale szpital znajdował się prawie godzinę jazdy stąd.

Odmówił jeszcze jedną modlitwę za Claytonów, ze ściś- niętym gardłem błagając Boga o zlitowanie.

Jego telefon zapiszczał, zagłuszając odgłosy natury.

Cooper. Odebrał połączenie.

- Powiedz mi, że masz dobre wiadomości.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Przykro mi, bracie. Mike nie przeżył.

Serce Gavina ścisnęło się w piersi. Stopy same się zatrzy- mały. Z trudem łapał oddech.

Mike.

- Mallory jest transportowana przez helikopter do szpi- tala Mission. Ale nie wygląda to dobrze, Gavin. Uważają, że jej obrażenia zagrażają życiu.

Boże, proszę... Nie.

Z trudem umiał to wszystko przyjąć do wiadomości. Jego najlepszy przyjaciel... Nie żyje. Ot tak. A Mallory ledwie trzyma się przy życiu.

- Emma?

- Nie było jej na pokładzie. Bogu niech będą dzięki. Samolot jest... To cud, że Mallory przeżyła katastrofę, stary.

Gavin przycisnął spód dłoni do powieki, myśląc o Emmie. Jej ojciec zginął, a życie matki wisiało na włosku.

Przełknął ślinę przez gulę w gardle i zmusił się, by iść na przód.

- Już prawie dotarłem do auta. Pojadę od razu do szpitala.

- Czekaj. Wiesz, gdzie jest Emma?

- Chyba w domu z opiekunką. Czasem proszą o pomoc córkę Bauerów.

- Dochodzi siódma i opiekunka będzie musiała iść do domu. Może pojedziesz tam i ją zmienisz?

- Mallory nie powinna być sama w szpitalu. Mike by tego nie chciał.

- Ona wolałaby raczej towarzystwo Laurel, nie?

Laurel. Oczywiście. Jego była żona będzie chciała być przy najlepszej przyjaciółce.

- Nie umiem trzeźwo myśleć. Zadzwonię do niej. Mam jeszcze jej numer, chyba że go zmieniła. - *Albo mnie zablokowała.* Nie rozmawiał z nią od czasu ostatniej rozprawy rozwodowej trzy lata temu.

- Jasne, ale może lepiej to ja do niej zadzwonię.

- No tak. Pewnie.

Nie rozstali się w przyjaźni. Poczuł, jak powracają cały żal i rozpacz spowodowane ostatnim rokiem ich małżeństwa, ale udało mu się je stłumić.

- Poczekaj chwilę, podam ci numer.

Włączył głośnik, odszukał numer Laurel i przedyskutował go Cooperowi. Jakoś nigdy nie zebrał się w sobie, żeby go usunąć.

- Zaraz do niej zadzwonię - powiedział Cooper.

- Dzięki, bracie. Dasz mi znać, czy udało ci się z nią skontaktować?

- Pewnie.

Gavin się rozłączył i od razu pomyślał o Laurel, która wkrótce otrzyma te same koszmarne wieści. Jego szkolna miłość przyjaźniła się z Mallory od podstawówki. Kiedy Mallory już w dorosłym życiu zaczęła się spotykać z Mikiem, on i Gavin natychmiast znaleźli wspólny język. Obie pary były ze sobą mocno zaprzyjaźnione.

Chociaż Laurel i Gavin przeprowadzili się do Asheville, nadal utrzymywali bliskie kontakty z Claytonami - widywali się na kolacjach i organizowali wspólne weekendowe wypadki w góry.

Rozwód oczywiście położył kres temu wszystkiemu. Jednak jakimś cudem, wbrew wszelkim przeciwnościom, Mike i Mallory podtrzymywali swoją przyjaźń z każdym z nich osobno. A nawet jeśli jej ciężar nadwyrężył ich relację, Gavin tego nie zauważył.

To wyjątkowi ludzie.

Przedarł się przez las i wyszedł na żwirowy parking, na którym zostawił swojego denali. Wyjął kluczyki z kieszeni i popędził w stronę samochodu.

Właśnie pomyślał o swoich przyjaciółkach w czasie terazniejszym... A przecież Mike zginął.

Odszedł.

To było nierealne. A jednak w tej chwili Gavin jechał do ich domu, żeby zaopiekować się małą dziewczynką, która właśnie straciła ojca.



Laurel Robinson była tak bliska otrzymania stanowiska marzeń - a co najlepsze, przyjaciele i współpracownicy jej kibicowali.

Ruby, ponad pięćdziesięcioletnia kierowniczka restauracji Dining Room, uniosła kieliszek.

- Za nową menedżerkę Walled Garden.

- I nie zapominajmy: najmłodszą w historii Biltmore Estate - dodała Kayla.

Ruby puściła oko do Laurel, a jej niebieski cień do powiek zabłyszczał w świetle żyrandola.

- I pierwszą kobietę na tym stanowisku.

- Tak jest!

Niezdolna stłumić skromnego uśmiechu, Laurel stuknęła się z nimi kieliszkami, a dzwoniący dźwięk zlał się z kofonią panującą w barze Charlotte Street Grill&Pub.

- Piękny toast, dziewczyny, ale nie uprzedzajmy faktów.

Ruby zbyła jej ostrożność machnięciem ręki.

- Proszę cię. Eddington odchodzi na emeryturę tuż po Nowym Roku. Kogo innego mogliby wybrać, jeśli nie jego asystentkę?

- Zawsze mogą zatrudnić kogoś nowego.

Kayla założyła krótkie, brązowe włosy za ucho.

- Po co mieliby to robić, skoro mają u siebie najlepszą specjalistkę ogrodnictwa w Karolinie Północnej?

- Kogoś, kto przez całą swoją zawodową karierę harował dla nich jak wół!

- Doceniam wasz entuzjazm. Serio. Ale staram się trzymać swoje oczekiwania na wodzy. - Zerknęła na Kaylę. - Pamiętasz, co było ze stajniami.

- Zaczęli szukać kogoś z zewnątrz tylko dlatego, że Ludwig nie polecał Russo - odparła koleżanka. - Nic dziwnego, że zatrudnili kogoś obcego. Ale Eddington cię uwielbia. Szkolił cię na to stanowisko i wystawił ci rekomendację.

Laurel miała nadzieję i modliła się, by koleżanki się nie myliły. Stanowisko menedżera Walled Garden było dość stabilną pozycją - Richard Eddington piastował ją przez ponad dwadzieścia lat. To mogła być jej jedyna szansa. Bo gdzie indziej mogłaby pójść? Biltmore Garden było spełnieniem marzeń każdego ogrodnika. Zakochała się w tej cudownej posiadłości, odkąd pierwszy raz pojechała tam na wycieczkę w siódmej klasie. Zdobyć pracę tutaj tuż po uzyskaniu dyplomu było jak wielka wygrana. Powoli pięła się po szczeblach kariery, a teraz miało się spełnić jej kolejne marzenie - a wraz z nim miała dostać wypłatę, która zapewni jej tak potrzebne poczucie bezpieczeństwa.

Przyszedł kelner i przyjął zamówienia, a kiedy odchodził, w kieszeni Laurel zabuczał telefon. Pewnie mama. Zwykle dzwoniła w sobotnie wieczory, żeby się upewnić, czy Laurel nie pracuje.

Spojrzała na ekran i zmarszczyła brwi na widok nieznanego numeru, rozpoczynającego się od kierunkowego z jej rodzinnego miasteczka.

Poczuła, jak w żołądku osiada jej kamień. Czy coś się stało jej mamie? Ojczymowi?

- Muszę odebrać - oznajmiła, po czym skierowała się do drzwi, żeby porozmawiać na zewnątrz, gdzie było relatywnie cicho. Po drodze odebrała połączenie.

- Laurel? - spytał męski głos.

W restauracji było bardzo głośno.

- Tak?

Powiedział coś jeszcze, ale czyjś gromki śmiech zagłuszył jego słowa.

Laurel pchnęła drzwi i minęła grupę ludzi wchodzących do środka. Kiedy drzwi się zamknęły, poziom hałasu znacznie się obniżył.

- Przepraszam, nie słyszałam pana. Proszę mówić.

- Mówi Cooper Robinson. Niestety mam złe wieści. Niedaleko Marshall doszło dziś po południu do wypadku samolotu i zostałem do niego wezwany. To był samolot Mike'a Claytona, Laurel. Bardzo mi przykro, ale on zginął na miejscu.

Niespodziewanie poczuła ukłucie zimna, które rozlało się na zewnątrz i spłynęło po niej aż po czubki palców, wprawiając je w odrętwienie. Mike nie żyje? Nie, to niemożliwe.

- Mallory była z nim. Przeżyła katastrofę, ale jest w bardzo złym stanie. Właśnie wiozą ją do szpitala Mission.

Laurel otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Czy to się działo naprawdę? Jak to możliwe? Nie dalej jak w środę rozmawiała z Mikiem i Mallory przez FaceTime. Byli szczęśliwi. Byli ż y w i.

- A co z Emmą?

- Nie było jej w samolocie. Została w domu z opiekunką.

Mike nie żyje. Dobry, szczodry Mike. Był taki cierpliwym, kiedy jego żona spędzała z Laurel całe dni w trakcie

rozvodu. Mallory podtrzymywała ją na duchu i pomagała jej przejść przez to, co najgorsze. A Mike, chociaż był najlepszym przyjacielem Gavina i na pewno trzymał jego stronę, nigdy nie okazywał jej żadnej urazy.

- Laurel? Słyszysz mnie?

Starła się zepchnąć głaz, który pojawił się jej w gardle.

- Tak... Powinam... Szpital Mission, tak powiedziałaś?

- Pewnie właśnie teraz ją tam dowieźli. Mówili coś o obrażeniach wewnętrznych i... Będę szczery, Laurel: nie brzmiało to dobrze.

Dobry Boże w niebie.

- Już tam jadę. Dzięki, że zadzwoniłeś, Cooper.

Rozłączyła się, niezdolna przetrawić myśli, że właśnie pierwszy raz od trzech lat rozmawiała z byłym szwagrem. Ani tej, że Mike nie żył, a Mallory była w krytycznym stanie.

Schowała telefon do kieszeni i wróciła do środka po torebkę. Musiała wziąć się w garść, bo najlepsza przyjaciółka potrzebowała jej teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Po pewnym czasie, który zdawał się trwać całą wieczność, Laurel zaparkowała swoją hondę civic na parkingu przed budynkiem oddziału ratunkowego i popędziła do drzwi. Mallory z tego wyjdzie. Musiała. Miała śliczną córeczkę, którą trzeba wychować.

Czy była przytomna? Czy wiedziała, że Mike nie żyje? Czy to Laurel będzie musiała jej o tym powiedzieć? *Błagam, tylko nie to.* Tych dwoje... stanowiło modelowe małżeństwo.

Podwójne drzwi się rozsunęły i wypłynęło z nich chłodne powietrze. Laurel podeszła do lady rejestracji, przy której powitała ją powściągliwym uśmiechem kobieta w średnim wieku.

- W czym mogę pomóc?
- Przyjechałam do Mallory Clayton. Podobno przed chwilą przetransportowano ją z miejsca wypadku lotniczego.
- Jest pani krewną?
- Nie, jestem jej przyjaciółką. Ona nie ma rodziny, oprócz męża, który zginął w tej katastrofie. - Głos załamał jej się na ostatnim słowie. - To moje dane kontaktowe podała do nagłych wypadków.
- Twarz kobiety zmiękła.
- Zaraz zobaczę, co uda mi się ustalić. Proszę poczekać.
- Stukała coś na klawiaturze, a Laurel czekała.
- Mijały sekundy. Minuty. *Czemu to tak długo trwa?*
- W końcu kobieta uniosła wzrok znad ekranu.
- Jest teraz operowana.
- A więc żyła. To dobra wiadomość.
- Może mi pani powiedzieć, co jej jest?
- Ktoś z oddziału będzie w stanie pani pomóc. Pokieruję panią do poczekalni. Po skończonej operacji wyjdzie do pani lekarz i poinformuje o stanie zdrowia pacjentki.
- Dziękuję.

Laurel nie dostawała żadnych informacji. Czekwała w poczekalni z kilkoma innymi osobami, zbyt zaniepokojona, żeby usiąść. Chodziła od okna do okna, modląc się całym sercem. Po raz nie wiadomo który spojrzała na zegar. Od jej przyjazdu minęła prawie godzina.

Nie miała pojęcia, czy operacja potrwa godzinę, czy dzień. Dlaczego nie było tu kogoś, kto odpowiedziałby na jej pytania? Czy nie wiedzieli, że bycie niedoinformowanym i tak bezradnym było istną torturą?

Wysoka kobieta w niebieskim ubraniu medycznym weszła do poczekalni i wszystkie oczy spojrzały w jej stronę.

- Mallory Clayton?

Laurel podeszła do niej na drżących nogach. Nie podobał jej się ponury wyraz twarzy lekarki.

- Czy nic jej nie będzie?

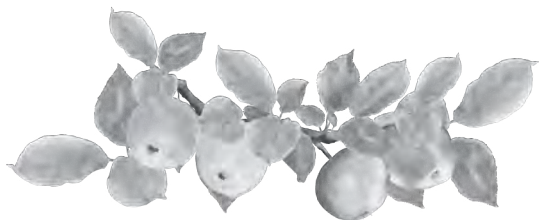
- Dzień dobry, jestem doktor Metz. Pani jest krewną?

- Nazywam się Laurel Robinson. Mallory nie ma krewnych. Jestem jej przyjaciółką i osobą do kontaktu w nagłych wypadkach. Czy nic jej nie jest?

Kąciki oczu doktor Metz odpadły razem z kącikami jej ust.

- Może chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogły porozmawiać na osobności, pani Laurel.

ROZDZIAŁ DRUGI



Gavin nie mógł się powstrzymać. Poszedł na piętro i przez korytarz do pokoju dziecięcego. Zajrzał do środka i zobaczył Emmę, śpiącą spokojnie w łóżeczku. Na zewnątrz dopiero zaczynało się ściemniać, ale Mike powiesił tu zaciemniające zasłony, więc pomieszczenie oświetlała tylko lampka nocna w kształcie księżniczki.

Serce ścisnęło mu się na widok słodkiej buzi dziecka i miarowych ruchów jej klatki piersiowej. Nic jej nie będzie. Kiedy Mallory obudzi się po operacji, Gavin zabierze do niej Emmę. Dobrze im to zrobi. Teraz musiały trzymać się razem. Gavin będzie im pomagał we wszystkim, czego tylko będą potrzebować. Będzie podtrzymywał w Emmie żywe wspomnienie o tacie, opowiadając jej o nim – a historii znał mnóstwo.

Czując się lekko podbudowany, zamknął drzwi i zszedł na dół. Przyjechał tuż po tym, jak Chloe położyła Emmę do łóżka. Widywali się wcześniej przelotnie, więc opiekunka wiedziała, że Gavin jest przyjacielem rodziny. Powiedział jej tylko, że Claytonów coś zatrzymało i przysłali go, żeby ją

zmienił. Nie chciał, by wieść o śmierci Mike'a rozeszła się przedwcześnie. Dopiero kiedy Chloe zatrzymała się w progu z niezręczną miną, zdał sobie sprawę, że nie otrzymała zapłaty. Przeprosił ją, wyjął gotówkę z portfela i podał dziewczynie.

Gavin ociężale pokonał stopnie. Jak dobrze, że Emma już spała. Potrzebował czasu, żeby przetrwać to, co się stało, zanim będzie gotów odpowiedzieć dziewczynce, gdzie są jej rodzice. Była całkiem wygadana jak na dwuipółlatkę, już łączyła ze sobą trzy lub cztery wyrazy w zdania. Ale co miał jej powiedzieć? Jak w ogóle mogła zrozumieć, że jej tata odszedł na zawsze, skoro sam Gavin miał problem, by to przyswoić?

Nieco wcześniej, stojąc na podjeździe przed domem przyjaciół, zadzwonił do mamy i przekazał jej złe wieści. Miała poinformować resztę rodziny Robinsonów i modlić się o zdrowie dla Mallory. Kiedy rozmawiali, szok już ustąpił i Gavinowi popłynęły pierwsze łzy.

Zamrugał. Jak długo stał tutaj, u podnóża schodów i gapił się na salon? Wszędzie były porzucane zabawki. Podszedł automatycznie do stosu klocków magnetycznych i zaczął sprzątać. Sunny, należąca do Claytonów suczka golden retrievera, obserwowała go z ulubionego miejsca przed kominkiem, z przechyloną głową i uniesionymi uszami.

Już prawie skończył odkładać zabawki na miejsce, kiedy telefon zawibrował mu w kieszeni. Cooper. Odebrał połączenie.

– Cześć, masz jakieś wieści?

– Właśnie rozmawiałem z kimś ze szpitala. – Nastąpiła chwila ciszy, zwiastująca złe wiadomości. – Przykro mi. Mallory nie przeżyła.

Gavina przeszedł dreszcz. Nogi się pod nim ugięły, więc usiadł na sofie. To nie mogła być prawda. Mike i Mallory... nie żyli? Tak po prostu? Już nigdy ich nie zobaczy?

Jego wzrok powędrował w górę schodów. Emma spała, nieświadoma, że jej cały świat właśnie rozsypał się na kawałki.

- Nie przeżyła operacji - dodał Cooper. - Obrażenia wewnętrzne były zbyt rozległe.

- To się nie może dziać naprawdę.

- Wiem, Gavin. To okropne.

Biedna Laurel. Rzadko się przed kimś otwierała. Miała wąskie grono bliskich przyjaciół. Tak małe, że Gavin nie był pewien, czy ktokolwiek jeszcze się do niego zaliczał.

- Czy Emmie nic nie jest? - spytał Cooper.

- Śpi. - Gavin położył rękę na głowie. - Co ja mam jej powiedzieć, Coop? Co się z nią w ogóle stanie?

- Nie wiesz, czy mieli jakiś plan awaryjny? Testament?

- Chyba... tak. Mike wspominał coś o tym jakiś czas temu.

- Gavin miał być wykonawcą testamentu, o ile pamięć go nie myliła. Ale to było ponad dwa lata temu, zanim urodziła się Emma.

- Czy jest jakiś krewny, który mógłby...?

- Rodzice Mike'a. Są już w podeszłym wieku, zostali rodzicami po czterdziestce. Ale może przejmą opiekę. Mallory miała matkę, ale nie widywały się od lat.

- Rodzeństwo?

- Oboje są jedynakami. - Byli jedynakami. Gavin potarł dłonią twarz.

- W takim razie... Miejmy nadzieję, że wyznaczyli prawnego opiekuna.

- A jeśli nie? Co się stanie z Emmą? - Poczul, jak w ciszy, która nastąpiła, narasta w nim strach.

- Rano trzeba będzie powiadomić opiekę społeczną... I Emma zostanie uznana za nieletnią sierotę, nad którą pieczę przejmie państwo.

- Co?! Nie. To się nie może wydarzyć. Mike i Mallory nigdy by tego nie chcieli. - Kto by chciał?

- Obawiam się, że tak to działa, jeśli nie ma innego planu. Rodzina będzie miała możliwość złożenia wniosku o przyznanie opieki. Ale jeśli nikt się nie zgłosi, Emma trafi do pieczy zastępczej, aż znajdzie się dla niej rodzina adopcyjna na stałe. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Może przejrzysz ich dokumenty i coś znajdziesz?

- Zaraz się do tego wezmę.

Gavin się rozłączył i poszedł do gabinetu znajdującego się w jednym z pokoi w domu. W głowie wirowało mu od myśli. Co, jeśli Claytonowie nie ustanowili opiekuna? Co, jeśli Emma trafi do obcej rodziny? Do pieczy zastępczej, jak żona Coopera, Katie? Nie. Mike i Mallory na pewno mieli jakiś plan. Trzeba było tylko znaleźć papiery.

Kwadrans później musiał przyznać, że organizacja nie była mocną stroną Claytonów. Szuflady na dokumenty wcale nie były pełne teczek i folderów, tylko stosów przeróżnych pomieszanych papierów, od dowodów rejestracyjnych samochodów po biznesowe kontrakty. Jak udało im się prowadzić Jabłoniowe Wzgórze w ten sposób?

Przejrzał pierwszą szufladę i właśnie zabierał się za drugą, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. To pewnie mama albo Cooper. Dzięki Bogu nie zadzwonili dzwonkiem i nie obudzili Emmy.

Podbiegł do drzwi i otworzył je.

Zamarł na widok swojej byłej żony, stojącej w świetle lampy na ganku.

Otworzyła szeroko brązowe oczy. Zamrugwała.

- Gavin.

Musiała nie zauważyć jego denali, zaparkowanego w cieniu z boku domu. Na jej twarzy malowało się cierpienie i miała przygarbione ramiona.

Serce ścisnęło mu się w piersi. Właśnie zmarła jej najlepsza przyjaciółka. I jego najlepszy przyjaciel. Automatycznie wyciągnął ręce, chcąc dać jej pociechę. Laurel zeszywniała i skrzyżowała ramiona. Przeszła w tryb pełnej samoobrony. Często widywał u niej tę pozę w ostatnim roku małżeństwa.

Nie przyszło mu do głowy, że jego nastrój może się dziś jeszcze bardziej pogorszyć, ale mylił się. Opuścił ręce wzdłuż ciała. Oznaką tego, jak źle się między nimi układało, było to, że nawet tragiczna utrata najlepszych przyjaciół nie skruszyła ani jednej cegły z postawionego przez Laurel muru. Trzy lata rozłąki i cała góra żali stały między nimi klinem.

- Gdzie jest Emma? - spytała.

- Śpi. Nic jej nie jest. Co ty tu robisz? - Nie chciał, by zabrzmiało to tak bojowo.

Jej oczy rozbłysły.

- To samo, co ty. Sprawdzam, czy u Emmy wszystko dobrze.

- Na razie tak.

Sunny prześliznęła się obok niego i przywarła do boku Laurel, merdając ogonem.

Długie, brązowe włosy kobiety opadły jej na ramiona, kiedy schyliła się, żeby z sympatią podrapać psa za uchem.

Laurel przyjeżdżała czasami do Riverbend od dnia rozvodu. W końcu mieszkała tu jej mama. Ale zawsze udawało jej się unikać Gavina. Na pewno nie przypadkiem.

Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

- Mallory... Nie przeżyła. - Żadnych łez. Pewnie nadal była w szoku. A poza tym rzadko płakała.

Chociaż Gavin dawno temu sprawił, że skurczyła się w zapłakany kłębek leżący pośrodku ich wielkiego, małżeńskiego łóżka. Odsunął od siebie to wspomnienie.

- Wiem.

- Co się stanie z Emmą?

- Nie wiesz, czy mieli jakiś plan?

W jej oczach coś błysnęło, lecz zaraz spuściła wzrok na psa.

- Hmm... Nie jestem pewna.

Nie wiedział, co to za mina, ale nie miał teraz siły rozszyfrowywać, co była żona mogła mieć na myśli.

- Może pomożesz mi szukać? Właśnie zacząłem przeglądać ich dokumenty. Jest w nich niezły bałagan.

- Dobrze.

Otworzył drzwi szerzej i wpuścił ją do środka. Wyglądała na taką zdruzgotaną, że nie zebrał się na odwagę, by przekazać jej to, co Cooper mówił o opiece społecznej. Miał nadzieję, że znajdzie dokumenty i wszystko jakoś się ułoży.